

POWIEŚĆ: NOWELA

ROK XXI

WARSZAWA, DNIA 22 CZERWCA 1929 ROKU

NR. 25

JERZY OSTROWSKI

8) JAZONEJA

(POWIEŚĆ EGZOTYCZNA)

— My, „cabocle' ... — uśmiechał się pół - żalosiennie, pół - dumnie. — Takie jest to nasze życie...

Był czas, kiedy posiadał on, Lazaro Machado, żonę i dwoje dzieci, ba! — miał psy! i jakie psy! — trzeba było je widzieć! Ale cóż? — przyszła „peste" — zaraza. Co to było — trudno powiedzieć. Ot, zaraza. Umarło wszystko. Umarły i psy. Polowanie stało się niemożliwe. Cóż może być za polowanie bez psów?

— E! — potwierdzili z przekonaniem wszyscy, którzy znali warunki polowania w lesie tutejszym.

— A ostatnio? — dopytywali się osadnicy.

— Ostatnio? Ostatnio było ciężko z powodu Indjan — powiedział Lazaro.

Koło zacisnęło się i z niespokojnym szacunkiem chwyciło słowa z ust tego dziwnego oberwańca, przychodzącego z głębi lasu i przynoszącego te groźne wieści. Nie słyszeli jeszcze o tem nowem niebezpieczeństwie, czekającym na nich tam, w głębi. Prawda, obijało się im coś niecoś o uszy, ale José, sekretarz lub Dyrektor, zagadnięci o Indjan, śmieli się lekceważąco i machali ręką:

— Isso é nada! — To jest nic! — mówili.

A „caboclo", nie widząc tajemniczych znaków, które mu robił José, ciągnął dalej:

— Nie wiedzieliśmy, rozumiecie panowie, nic o tem, że przebywają gdzieś w pobliżu ludzie, ale zwierzyna zaczęła się niepokoić, waliła na nas, jak szalona. To nam wystarczyło. Zrozumieliśmy. Ale — niestety. — Botokudzi zrozumieli także.

— Bo — to...?

— Botokudzi, tak. A właściwie nietylko zapewne zrozumieli, to jest nie poprzestali na tem, lecz zapewne widzieli was.

— Nic podobnego! — zaprzeczyło kilka głosów — nie spotykaliśmy do tej pory żadnego!...

„Caboclo" uśmiechnął się pobłażliwie.

— Wyście ich nie widzieli, wierzę. Botokuda nie łatwo jest zobaczyć. Ale że oni was nietylko widzieli, ale policzyli — to ręczę. Kto wie, czy w tej chwili nie patrzą na nas gdzie z gąszczu.

Mimowoli obejrżeli się niespokojnie i skupili się jeszcze bardziej.

Lazaro uśmiechnął się nieznacznie i powtórzył:

— Botokuda niełatwo jest zobaczyć.

— Więc jak to było, jak? — dopytywali się niespokojnie.

— Zwierzyna zaczęła iść od północy i było wiadomo, że tam coś się dzieje.

Zacześliśmy też spotykać ślady Indjan. Znaczyło to, że chcieli oni, abyśmy je zobaczyli. Inaczej nie odkrylibyśmy. A potem zaczęli straszyć.

— Straszyć?

— Si — potwierdził spokojnie. — Botokudzi zawsze naprzód straszą. Stukali pałkami w pnie, nocą, hukali... Baliśmy się palić ognie nocami, choć wiedzieliśmy, że Oni nie napadają nigdy nocą.

— He?

— Zawsze napadają o świcie lub w południe, w nocy — nigdy. Ale rozumiecie, panowie: siedzieć w nocy, na tle ogniska...

Zamruczeli na znak zrozumienia i wstrząsnęli się.

— Póki jeszcze były psy — jakoś to szło. Mieliśmy cztery psy, czujne, mądre... Ale potem nam wystrzelali. Przynajmniej tak można wnosić, bo nasze psy nie polowały bez nas i nie przypuszczaliśmy, żeby zginęły od dzikich świń. Dobrze, cztery psy... — zakiwał głową.

— A potem — opowiadał — zobaczyliśmy ich. To już było źle. To znaczyło, że chcą nam się pokazać, że grożą już nanadem. Na szczęście, mieliśmy nasze wierzchowce. Trzeba było ich coprawda szukać, bo puszczane były samopas i nawet nie wiedzieliśmy, czy i ich Botokudzi nie zabili, ale to był nasz jedyny ratunek. A kiedy znaleźliśmy je wreszcie — mieliśmy już Indjan na karku: słyszeliśmy szczekanie ich psów. I w tej ostatniej chwili, rozumiecie? — w chwili, kiedyśmy siodłali te bydłeta i mocowali się z niemi, bo zdziczały szelmy — biedny Maximiliano został „obrażony przez gada". Nie było mowy o ratowaniu — siedliśmy czempredzej i pogналиśmy na północ. W ciągu dwóch dni i dwóch nocy nie zsiadaliśmy prawie z koni i Maximiliano czuł się coraz gorzej. Bredził, opowiadał niestworzone historie...

Tu Lazaro wstrząsnął się poraz pierwszy z wyraźnym strachem i obejrzał podejrzliwie:

— Dość powiedzieć — powiedział półgłosem — że widział Złe Duchy. A także pewne osoby nieżyjące. Bo trzeba wam wiedzieć, że brał kilka razy udział w rewolucjach, biedny Maximiliano, i zdarzyło się biedakowi kilka osób... Jakoś mu tam podwinęły się. No, więc właśnie — widział je teraz. To była straszna ta jazda, moi panowie, możecie mi wierzyć...

Stali bez słowa, zaskoczeni, bezradni, bladzi... Więc tam mieli jechać?

Wtedy José poczuł, że wypada mu odezwać się, rzekł więc sztucznie pewnym głosem:

— Powiedz nam, senhor, przecież tu jest jakaś fazenda?

„Caboclo“ podniósł na mówiącego swoje senne oczy:

— No, więc niby jest — cóż z tego? Od roku jest tu jeden senhor, który kupił od rządu ogromne obszary i siedzi tu z żoną i dwoma „capangami“. Bliśko nawet. Ale i on się wyniesie, jak się dowie. Sprzedali mu tereny z dodatkiem: z Indjanami.

Ciche wzburzenie rozległo się wśród osadników.

— Oszukali nas! Nie powiedzieli! Nie pójdziemy!

Cobus podszedł do Lazara i zapytał cicho, a jakby trochę drwiąco:

— A senhor? Co senhor zamierza teraz robić?

— Ja? — zawahał się „caboclo“ i oglądał się na otaczających go mężczyzn. — Teraz jest nas sporo. Co będę robić? Nie wiem. Pewno wrócę do lasu.

Zaczęli ze śmiechem klepać go po łopatkach i nabrali trochę otuchy, ale długo jeszcze potem gadali z oburzeniem, że Dyrekcja powinna była uczciwie powiedzieć, co i jak. Że to jest czyste łajdactwo i że tak się nie robi.

— A cóż wy, Szuk? — zapytał któryś z gromady. Wy macie lot najbliższej nich?

— Myślę — powiedział stary powoli, — że jak nie będziemy ich zaczepiać, to chyba bez powodu nie zaczną. My — ludzie spokojni: aby na swoim kawałku...

Cobus zaś poszukał oczami oczu kędzierzawego sekretarza, który stał opodal, i zatrzymał na nim zły, połyskujący wzrok. Affonso poczuł się tak niewyraźnie, że zrobił ręką nieznaczny ruch od uroku. Stanowczo ten przybysz miał wzrok uroczny. Po chwili w oczach Cobusa przemknął się kpiący śmiech i odwrócił się do Affonsa plecami. Potem osadnicy rozeszli się powoli i pozasiadali przy ogniskach.

Dodawali sobie ducha, bo już za dużo włożyli trosk w dojście do tej swojej ziemi i nie mieli siły szukać czegoś nowego, ale osiadła w nich na dnie zgryzota i żarła cicho. Do nocy nic nie robili, tylko naradzali się, wzdychali i kręcili głowami. Tryumfował tylko Messel: on był najdalej od lasu i Indjan.

Sen mieli niespokojny: budzili się coraz i wstuchiwali się w ciszę lasu, badając, czy nie usłyszą ponurych głosów Indjan. Noc jednak była — jak tam bywa — głuchoniema i martwa. Odezwała się czasem sowa, znanym głosem, trzasnęła trzcina pękając, lub zwałił się przegniły konar pinjora, że serce skoczyło na moment — i znowu kładła się czarna cisza na zimną ziemię.

Na drugi dzień Szuk i Cobus, bez słowa porozumienia, zaczęli się znowu gotować do drogi. We trzech, z Walerym — poszli powoli, zgarbieni pod tłumokami. Iść było dobrze, bo ranny chłód rażno przejmował ciała, może tylko wilgoci było za dużo. W godzinę doszli do swoich lotów i zatrzymali się w namyśle.

Loty ich graniczyły ze sobą i przyszła im jednokowa myśl do głowy nie budować się pośrodku swych lotów, lecz w taki sposób, aby domy były jak najbliższej. Powiedzieli to sobie w niewielu słowach. I postanowili zacząć karczunek od wspólnej granicy. To dodało im ochoty.

Położyli więc tłumoki na „tropie“ i wygrzebali z nich narzędzia. Była tam dobrze im znana siekiera, ale było też dziwne narzędzie — „fojsa“ — ni to

sierp, ni to kosa, na długim trzonku, mocna i z dobrej stali. To była broń na drobną hołotę gąszczu. Na drzewa — była tylko siekiera oraz piła. I ogień jeszcze.

Nim wzięli się do pracy, patrzyli twardem okiem na przeciwnika, na ów las. Nie bali go się. Prawda, że oddawna byli rolnikami, że czesali tylko łagodnie ziemię, ale był czas, że podobnie musieli walczyć z lasem. We krwi mieli pionierstwo i osadnictwo i te dawne rozmachy wracały im teraz, poprzez leniwe i zgarbione rolnictwo równin. Czuli, jak im wzbiera w żyłach puls ich przodków, którzy trzebili puszcze niemniejsze od tych, tutaj.

Dawno to było, dawno...

Niechby kto wyśpiewał tę epopeję walki Człowieka z Lasem!

Kiedy błakające się naoslep ludy wybierać zaczęły wreszcie swoje stałe siedziby zachodnie, na wschodzie Europy pozostała jedna wielka, bagnista puszcza. Powyżej jednego z największych topielisk, na północ od rzeki, zwanej Przypecią, stał najszczerwszy, najsurowszy las, nienaruszone jądro tego władztwa drzew.

Drzewa zbijały się w nim ciasno, jak chłopcy, kiedy — milcząc — kupią się do bójki, a które padło — to tam też leżało pod nogami innych i zdychało. Szedł zaduch tej mokrej śmierci po lesie, bo słońca nie dopuszczały te inne, co się wyparły do góry, na świat. Nietylko niezdarna stopa ludzka, ale i rać tura lub żubra zapadała się często w ten drewniany cmentarz. Oślizgła, jak grzyb, kłoda rozjeżdżała nogi, aż trafiły w słabiznę, która trzaskała głucho w milczącym lesie i otwierała sypki dół, pełen wilgotnego próchna.

Każdy szelest w tej ciszy był świętokradztwem, przerażeniem własną śmiałością. Było tu tylko jedno prawo: prawo życia olbrzymich roślin; to też żyły jedno przez drugie, mnożyły się i marły.

W ciemnej, wilgotnej i ciepławej jamie brzusznej lasu słycać było tylko jakieś bolesne trzaski porodu i śmierci.

A przecież — był tu człowiek.

Przechadzał się ostrożnie bokami i węszył.

Ciał ukradkiem bylejakie drogi w tem rumowisku martwych i żywych drzew i darł się za stadem dzikiego bydła, razem z wilkami. Niezdarny niby, a szybki, jak każde zwierzę leśne, coraz bardziej brał puszcę w posiadanie. Wypierał w coraz to dalsze zakamarki zwierza, wyparł też i wytracił plemię, które tu błakało się przed nim: dzikszego jeszcze Jadźwinga. Stawał się panem.

Zaczął więc polany wycinać lub wypalać, aż zobaczył słońce, a słońce jego. Na tych ledwo podeśchłych bagnach klecili sobie czasowe budy i siadali rodzinami i całymi rodami. Bo szli często po dwunastu braci, stryjków i pociotków i trzymali się kupy, za wzorem lasu.

Zrazu tylko drzewo palili na smołę lub rudę tomyśliwstwem się bawili. Potem ten i ów zaczął nieco traw siać; palił więc bez żalości las, a co mu zgorzało na czysto, wzruszał nieco i ziarnem obrzucał. Potem owemu „uğorowi“ odsapnąć pozwalał, a sam ciał i palił dalej.

Nie bez tego, żeby przy okazji kuszy lub samopatu nie spróbował, gdy mu coś mignęło w gąszczu lub żeby na mechatęgo mierzyna nie wsiadł, gdy głucha wieść o wyprawie wojennej zabłądziła do jego ostepu. Powracał jednak i dalej prawował się z lasem.

(D. c. n.).

TRÓJKA TREFL

13)

— Żąda pani odemnie bardzo wiele — odparł. — Nie jest pani nawet Angielką i jeżeli nie uda się nam, to będę musiał rzucić moje stanowisko. Wszyscy członkowie mojej rodziny poświęcali się zawsze karierze dyplomatycznej. Sam nie wiem, jaką odpowiedź mam pani dać.

— Rozumiem pana — odpowiedziała Wirginja. — A więc rozstaniemy się, każde z nas pójdzie swoją drogą.

— Nie, nie — zawołał nagle Klaudjusz. — Godfrey jest moim przyjacielem i jest zamieszany w okropną historję. Wirginjo, taki sam niepokój ogarnia pani i moje serce. Wirginjo, wierzę w panią. Działać będziemy wspólnie!

Uścisnęli sobie ze wzruszeniem ręce.

— A jednak wszystko nie jest tak proste dla pani. Już na pierwszym kroku piętrzą się komplikacje; musimy się rozstać. Hrabia Aranyi zaprosił mnie na polowanie do swojego majątku, znajdującego się przy granicy czechosłowackiej. Kilometr dwieście dwudziesty czwarty jest na terenie należącym do hrabiego. Sądzę więc, że będę się mógł dowiedzieć wielu rzeczy na miejscu, nie ściągając niczyich podejrzeń.

Jenny zastanawiała się przez chwilę.

— Kiedy zamierza pan pojechać? — zapytała.

— Jutro rano. Zabieram moim samochodem hrabinę Hegedin, siostrę hrabiego Aranyi.

— Wybornie — zawołała Wirginja — nareszcie, najgorsze przeszkody są usunięte.

— Przeszkody? — zdziwił się Lorne.

— Rozumie się samo przez się, że nie uznaję konwenansów i nie jestem w tym względzie przesadna. Ale, bądź co bądź, nie byłoby mi przyjemnie spędzić kilka dni w węgierskim zamku, i to wyłącznie w męskim towarzystwie...

— Ależ nie zna pani nawet hrabiego Aranyi...

— Jeszcze go nie znam — odrzekła spokojnym tonem, ale nastąpi to niebawem. Właśnie zapłacił rachunek i idzie w naszą stronę. Niech mi go pan przedstawi.

Hrabia Hektor Aranyi robił raczej wrażenie Anglika, niż Węgra. Ubrany był doskonale i bardzo spokojnie. Jego wielka postać, siwiejące włosy na skroniach i regularne rysy były przepojone wielką godnością.

Pierwszy ukłonił się Klaudjuszowi. Wzrok jego zatrzymał się przez chwilę na towarzyszcze młodego człowieka.

Lorne wstał.

— Hrabio — rzekł — pragnąłbym pana przedstawić panie Wirginji Fitz-Gerald, siostrzenicy markizy de Kerouzan, którą pan, hrabio poznał prawdopodobnie w Londynie.

Wirginja rzuciła pełne wdzięczności spojrzenie na młodego dyplomatę, podziwiając zręczność, z jaką zagaił rozmowę.

— Oczywiście, mam przyjemność znać markizę de Kerouzan. Biedny markiz był moim przyjacielem, braliśmy razem udział w konkursach hippicznych.

Oczy hrabiego nabrały wyrazu pełnego melancholji, gdyż przypomniał sobie dawne dobre czasy

młodości, w których witano go na angielskich wyścigach serdecznymi oklaskami i mówiono: „ten młody Węgier jest przyjacielem króla Edwarda VII”.

— Zamierza pani pozostać dłuższy czas w Budapeszcie.

— Zdaje mi się, że wyjadę już jutro — odparła Wirginja, opuszczając powieki. — Liczyłam, że zwiedzać będę Budapeszt oraz okolice w towarzystwie Klaudjusza, a tymczasem dowiaduję się, że go pan zabiera na polowanie!

I spojrzała na hrabiego z wyrazem żalu.

— Jaka szkoda! — zmartwił się Aranyi. — Co pan zamierza uczynić, panie Klaudjuszu?

— Gdybym nie przyrzekł hrabinie Hegedin, że ją zabiorę jutro do Wolfstalu — — — zaczął Lorne. Aranyi roześmiał się.

— Jeżeli pan nie dotrzyma słowa Zofji, to zyska pan w niej strasznego wroga, a w dodatku nie mam już dla niej miejsca w moim samochodzie.

Następnie zwrócił się do Wirginji.

— Bardzo pani zależy na zwiedzeniu Budapesztu?

— O, nie — odrzekła. — Nigdy nie byłam na Węgrzech i miałam ochotę zobaczyć ten piękny kraj. Miasto obejrzałam powierzchownie, nie uśmiecha mi się myśl powrotu do Paryża...

Hrabia Aranyi zawahał się.

— Gdyby to nie sprawiało pani zbyt wielkiej różnicy, i gdyby pani zgodziła się zrezygnować z dokładniejszego zwiedzenia Budapesztu, to ośmieliłbym się panią zaprosić do Wolfstalu, razem z Lornem. Choć dom mój znajduje się pośród lasów, jest wygodny i wcale nie dziki. Trochę się lękam, ażeby się pani nie znudziła, gdyż będzie nas mała gromadka: moja siostra, mój siostrzeniec, Lorne i kilku znajomych z okolicy, którzy przyjadą na polowanie, o ile pogoda będzie sprzyjała. Siostra moja zabiera z sobą pokojówkę, która będzie pani pomocną.

— Jestem zachwycona! — zawołała Wirginja. — Doprawdy, wzrusza mnie pańska gościnność. — Pojechałabym bardzo chętnie, ale obawiam się tylko, czy nie przeszkodzi panu, hrabio.

— W niczem! Szalenie lubię gości! Samochód Lorna jest olbrzymi; jego Benz słynie z wielkości. Niema na całych Węgrzech większej i brzydszej maszyny. Kupił ją od powojennego paskarza za osiemdziesiąt funtów sterlingów.

— Proszę nie przesadzać — zaprotestował Lorne, — zapłaciłem za mojego Benza sto dwadzieścia funtów, a za trzydzieści funtów gotów był jego właściciel dodać mi szofera, żonę i czworo dzieci!

— Trzeba było skorzystać z wyjątkowej okazji! — roześmiał się hrabio.

Następnie Aranyi pożegnał Wirginję i Klaudjusza, prosząc, ażeby nie spóźnili się na śniadanie.

Noc była jasna i zimna, gdy Jenny i Lorne wychodzili z restauracji. Klaudjusz chciał zawołać takówkę, lecz Wirginja wołała wrócić pieszo.

Aleja Andrassy była pograżona w srebrnym śnie. Wirginja westchnęła.

— Jestem tak niespokojna o Godfreya — odezwała się, po dłuższym milczeniu. — Mam wrażenie, że lękałabym się znacznie mniej, gdybym wiedziała, ja-

ką misję mu powierzono. Czy ma pan w tej kwestji jakieś zdanie?

Klaudjusz potrząsnął głową.

— Zastanawiałem się nad tem głęboko, lecz nie wiem, co chce tu zdemaskować nasza służba wywiadowcza.

Oczywiście, zdarzają się od czasu do czasu jakieś spiski monarchistyczne, ale nawet za życia Karola nie brało się ich poważnie, a teraz są zwyczajną komedją.

— Niewątpliwie polecono mi rozwiązanie jakiejś tajemniczej zagadki. Jedyłą osobą, która by mogła nas objaśnić, jest pański przyjaciel, major Mac Tavish. Musi mnie pan zaprowadzić jutro do niego.

— Wykluczone, gdyż wyjechał wczoraj do Londynu. Zresztą jest zamknięty, jak grób i nic nie mogłem wydobyć od niego. Wszystkiemu zadaje kłam, pisałem to w liście do pani.

— A czy policja nie odkryła, kto go zaatakował?

— Euan nie chciał do tego dopuścić, i sprawę zatuszowano.

— A pan? Jakie wrażenie zrobiło na panu to zajście? Nikogo pan nie podejrzewa?

— Jechała razem z nami — zaczął powoli Klaudjusz —, Węgierka czy Austriaczka, niejaka baronowa Vali von Griesbach, którą poznałem w Wenecji przed miesiącem. Była to ostatnia osoba, którą widzieliśmy, gdyż przyszła do naszego przedziału na pogawędkę. Zajmowała przedział, znajdujący się nawprost drzwi, przy których zaatakowano Euana.

— Ależ to jasne, jak dzień — zawołała Wirginja. — Ta kobieta jest szpiegiem i ona, prawdopodobnie, rzuciła się na pańskiego przyjaciela.

— Nie, panno Wirginjo — odrzekł Klaudjusz. — Opuściła pociąg przed zamachem.

— Skąd pan to wie?

— Żegnając się z nami, powiedziała, że wysiada w Szob, to znaczy, na stacji, która jest przed dwieście dwudziestym czwartym kilometrem.

— Widział pan, jak wychodziła z pociągu?

— Nie, nie widziałem, gdyż spałem.

— A więc powiedziała to panu, ażeby wprowadzić was w błąd. Poszedł pan po zamachu sprawdzić, czy jest jeszcze w swoim przedziale?

— Przyznam się, że nie pomyślałem o tem. Straciłem głowę. Żałuję, że nie uczyniłem tego. A teraz zadaję sobie pytanie, czy nie ma pani racji. — — — Przypominam sobie, że zapytała Euana, czy jest kurjerem dyplomatycznym.

— Co to za jedna?

— Nie mogę objaśnić pani dokładnie, gdyż wiem tylko, że jest nawpół Węgierką i nawpół Austriaczką, a wdową po Niemcu. W Wenecji zrobiła na mnie wrażenie bogatej kobiety.

— Niech mi ją pan opisz.

— Jest wysoka, ma czarne włosy i czarne oczy. Rasowa, szykowna i więcej, niż przystojna.

Wirginja roześmiała się.

— Miły, kochany Klaudjuszu, nie mógłby mi pan powiedzieć czegoś bardziej charakterystycznego? Młoda, czy stara? Tęga, czy szczupła? Posiada jakieś znaki szczególne?

— Jak odpowiedzieć? — rzekł Klaudjusz — widziałem ją zaledwie dwa razy. Nie zdążyliśmy zawrzeć bliższej wiadomości, gdyż nagle musiała wyjechać do Monachjum. Baronowa Vali von Griesbach jest młoda, znakomicie zbudowana. I — przypomniałem sobie w tej chwili, ma znak szczególny: bliźnię na lewej ręce.

— Nie ulega żadnym wątpliwościom, że ta kobieta jest szpiegiem! — zawołała Wirginja po raz drugi. Najprawdopodobniej, jechała za majorem Mac Tavishem z Londynu.

— Teraz, gdy myślę o pięknej baronowej Wali pod innym kątem — rzekł nagle Lorne — uderza mnie dziwny fakt, który miał miejsce w Wenecji. Wracaliśmy, przy pełni księżyca, z przejażdżki gondolą baronowej Wali i mijaliśmy właśnie hotel Daniela, gdy wtem z okien hotelu spadł jakiś przedmiot i potoczył się pod stopy mojej towarzyszki. Podniosła go szybko, ale zdążyłem zauważyć, że była to karta: trójka trefl — — —

— Trójka trefl! — krzyknęła Wirginja, zatrzymując się i kładąc rękę na ramieniu Klaudjusza. — Powiedział pan: trójka trefl?

— Tak jest, trójka trefl — potwierdził, spoglądając na nią ze zdziwieniem. — Dlaczego robi to na pani takie wrażenie?

Opowiedziała mu o karcie, którą cygan rzucił jej na kolana.

— I jest pani pewna, że była to także trójka trefl? — zapytał Lorn.

— Tak, była to trójka trefl i znajdowała się na niej liczba dwadzieścia jeden — odrzekła. Co sądzi pan o tem?

Klaudjusz był tak samo zdziwiony, jak Wirginja.

— A von Bartzen, ujrawszy tę kartę, postanowił natychmiast skrócić swój pobyt w Budapeszcie? — zapytał.

— Owszem, lecz czemu zadaje mi pan to pytanie? — powiedziała Jenny.

— Ponieważ baronowa Wali, która zamierzała pozostać jeszcze jakiś czas w Wenecji, oznajmiła mi, zaraz po otrzymaniu trójki trefl, że musi wyjechać jeszcze tej samej nocy.

— Nie dała żadnych wyjaśnień?

— Wyjechała, bez słowa wytłomaczenia.

Szli przez chwilę w milczeniu, oboje zatopieni w swoich myślach. Zbliźali się do opery, gdy wtem Klaudjusz dotknął ramienia Jenny.

— A to dziwne — zauważył — niech pani spojrz.

Na zakręcie ulicy znajdował się mur, pokryty barwnymi afiszami. W samym rogu było puste miejsce, a na niem narysowana węglem duża trójka trefl. Pod trójką trefl widniała ta sama liczba dwadzieścia jeden.

— Panno Wirginjo, widzi pani? — rzekł Klaudjusz. — Znowu trójka trefl.

XII.

WALERJA

W miarę, jak mijały dni w Kés, Godfrey zaczął zdawać sobie sprawę, że nie doceniał początkowo hrabiego Gellerta. Prowadzili z sobą długie rozmowy w gabinecie karła i po każdej rozmowie w tym dziwnym dzieciennym pokoju Godfrey spostrzegał nowe walory intelektualne swojego gospodarza.

Jego znajomość literatury była poprostu zdumiewająca. Interesował się zwłaszcza współczesną poezją i cytował z pamięci również często i łatwo Ruperta Brooka, jak von Liliencrona czy Pawła Fort.

Głuchota nie zdawała mu się wcale przeszkadzać. Z ust czytał słowa Godfrey'a i innych — a rozumiał i władał pięcioma językami.

(D. c. n.).